

Pismo.

MAGAZYN OPINII

KWIECIEŃ 2019 | NR 4 (16)

PORTRET

**John Oliver:
prawda was
rozbawi**

REPORTAŻ

**Przemysł truje
Gdańsk**

**Twoje jabłko
zerwał polski
niewolnik**

**Prawda w mediach:
skąd wiemy to,
co wiemy?**

CENA: 14,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
0 4 >



9 772544 502906

MAGAZYN OPINII

Pismo.

KWIECIEŃ 2019 | NR 4(I6)



Pismo.

KWIECIEŃ 2019

OPOWIADANIE

Mama mordercy | 4
IDA LINDE

T. | 94
JAKUB MAŁECKI

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 86
wydarzenia kulturalne w kwietniu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 96
ADAM BODNAR

POEZJA

Co o nich wiem | 15
MACIEJ ROBERT

nasi | 55
AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

Poręczenie i nawiązanie | 79
EUGENIUSZ TKACZY SZYN-DYCKI

OBRAZ

CYKL MIGRACJE **Pittsburgh** | 2
KAROL GRYGORUK

FOTOREPORTAŻ **Miejsce zasłon** | 40
AGATA GRZYBOWSKA

SZKIC **Misiak** | 61
MARTA ZABŁOCKA

KOMIKS **Palacze** | 70
TOMASZ KONTNY / AGATA WAWRYNIUK

ŻARTY RYSUNKOWE **Kawa, kawusia**
MROUX

OKŁADKA **Prawda nas wyzwoli**
IZA DUDZIK

PORTRET

10 | **John Oliver: Publiczność mnie nie lubi**
EMMA BROCKES o komiku, który nie chce, by nazywać go dziennikarzem

STUDIUM

16 | **Nikt nie czeka na poranne wydanie**
BARBARA SOWA, MAGDALENA LEMAŃSKA: za wcześniej na pogrzeb prasy

REPORTAŻ

24 | **Krajobraz ze smrodem**
PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI o tym, dlaczego przemysł bezkarnie nas truje

32 | **My, bezdomniaki od jabłek**
MAREK SZYMANIAK o niewolniczych warunkach pracy w polskich sadach

48 | **Algierczycy mówią: Dość!**
LUDWIKA WŁODEK o Algierii u progu rewolucji

ESEJ ŚWIAT

56 | **Ofiary kruszących się demokracji**
PAWEŁ PIENIĄŻEK o idealistach, którzy wciąż uprawiają dziennikarstwo

62 | **Na Zachodzie bez zmian. Oby**
KAJA PUTO analizuje, co czeka niemiecką politykę po erze Angeli Merkel

ESEJ KULTURA

80 | **Nowa mitologia równości**
MAŁGORZATA MAJEWSKA o sposobach radzenia sobie z nieprawdziwymi informacjami

88 | **Rosja nie istnieje**
RENATA LIS o tym, ile straciliśmy, odwracając się od rosyjskiej kultury

WOKÓŁ KSIAŻEK

74 | **Lupa, megafon, szczepionka**
ADRIAN STACHOWSKI pyta, po co pisać i czytać reportaże

FELIETON

31 | OD REDAKCJI **Innego końca świata nie będzie**
MAGDALENA KICIŃSKA

85 | TYMCZASEM **Kubetek**
MARCIN WICHA

Pismo.
Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Mecenas:
empik

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Agnieszka Liszka-Dobrowolska,
Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorka Wydania Cyfrowego: Barbara Sowa,
Dyrektor Artystyczny: Karol Tyczyński, Redaktorka Działu Idee i Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redakcja i korekta: Marcin Czajkowski, Karolina Iwaszkiewicz, Monika Marczyk,
Zofia Sawicka, Dorota Śrutowska, Promocja: Ewa Salamon, Komunikacja i PR: Agnieszka Odachowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

—
Masoka, Nabiombe i Kiza, uchodźczynie z Demokratycznej Republiki Kongo. Od dekad Pittsburgh w amerykańskim stanie Pensylwania słynie z gościnności. W ostatnich latach dzięki programom relokacji kilkaset rodzin odnalazło tu nowy dom. Gdy szkoły i NGO-sy organizują dodatkowe zajęcia dla dzieci z uchodźczych rodzin, a wolontariusze i aktywistki pomagają dorosłym w znalezieniu pracy, zwykli mieszkańcy ozdabiają swoje domy popularnym hasłem skierowanym do nowych sąsiadów – *You Belong*.

WSPÓŁPRACA:

minority
rights
group
international

MIGRACJE

Pittsburgh

zdjęcie i tekst KAROL GRYGORUK/RATS



Mama mordercy (fragment)

tekst IDA LINDE

przełożyła JUSTYNA CZECHOWSKA

Koszmary mojego chłopca zaczęły się w zwykły dzień. Siedziałam na kanapie, porządkując papiery, a on był w łazience, głos miał jakby zamknięty w puszcze, kiedy powiedział: – Stałem na łące pełnej rumianków, ciało miałem miękkie od słońca. – Wstałam z kanapy i spytałam przez zamknięte drzwi łazienki: – Co robiłeś na łące? – Chodziłem sobie, gdy nagle nadleciało wielkie stado. – Co to były za ptaki, kruszynko? – Milczał, a ja, czekając, zdzierałam z drzwi łuszczący się plastik. W końcu się odezwał: – Szukałem schronienia, ale w rumiankach nie dało się ukryć, więc w końcu sroki mnie zadziobały.

Dzień później jadłam kanapki z serem na podwórku pod pracą. Świeciło wątle słońce. Przyglądałam się gołębiom siedzącym w rzędzie na dachu jak nieczytelne znaki, zbyt daleko. Koleżanka z pracy siedziała obok mnie na niebieskiej ławce, ale żadna z nas nie miała ochoty na rozmowę, to ładne, kiedy dwie osoby pragnące milczeć chcą dzielić się chwilą. W redakcji panował gwar, który narastał w ciągu dnia jak fale, najpierw coraz bardziej, a potem zanikał, zostawiając nieco piany, może wodorostów i poszczerbionych muszelek, a zaraz znów się rozpędział i rozbiła o plażę.

Następny koszmar opowiedział przy kolacji. Mój chłopiec patrzył na telewizor u sąsiadów, sekundnik na błyszczącym zegarku stukął, a on powiedział: – Mamo, musiałem się zająć pudełkiem z kociętami, maleńkimi, ślepymi. – Spojrzałam na jego dziecięce dłonie i powiedziałam: – Jak miękko. – Nie – odparł – bo je zgubiłem, a kiedy zacząłem szukać, zapomniałem, ile ich było, znalazłem tylko trzy, które włożyłem do pudełka. – I tak dobrze – pocieszyłam go. Przypomniłam mi się kotek, którego miałam w dzieciństwie i który uciekł, i ile lat czekałam, aż wróci. – Co zrobiłeś z pudełkiem, kruszynko? – Włożyłem pod łóżko, zapomniałem dać im jeść i pić, więc kocięta zaczęły się kurczyć, zrobiły się szare, kiedy chciałem je podnieść, zostały z nich mysie płody bez futerka.

Bycie samotną urastało do problemu, kiedy mój chłopiec coraz bardziej się ode mnie oddalał. Coraz częściej w mieszkaniu byłam tylko ja, bez niego nadającego kierunek. Nie mogłam też wyjść, zostawałam w domu na wypadek, gdyby wrócił, nie powinien przecieź wracać do pustego mieszkania. Nie było nic do roboty, kiedy byłam tylko ja, mogłam oczywiście posprzątać, ale już było czysto, mogłam popracować, przeczytać to, co jest do przeczytania, albo rozwiązać krzyżówkę, ale co to za życie. Nie było nikogo, kto przeszkadzałby mojemu bytowi. Potrzebowałam

odgłosu drugiego człowieka, a nie przebywania w grobowej ciszy. Ale nie mogłam też zaaprobować nikogo w tym oczekiwaniu, byłby to jakiś rodzaj zdrady, mój chłopiec mógłby się poczuć zastąpiony. Wydawało mi się, że wiedziałam, co oznacza zdrada, co potem okazało się nieprawdą.

Długo czekałam na mojego chłopca, trudno powstrzymać się od zadzwonienia do niego, to ważne, by pozostawić przestrzeń, zaufanie. Nie stawiać mojej potrzeby bliskości ponad jego potrzebę bycia niezależnym. Krążyłam między kanapą, oknem a kuchennymi szafkami. Starłam się nie myśleć o ciele, tylko powtarzać trójkątny wzór na parkiecie. Mogłam napić się wina, żeby trochę się uspokoić, ale chciałam być trzeźwa, jeśli okazałoby się, że coś mu się stało. W końcu mój chłopiec odziedziczył koszmary po mnie, byłam o tym przekonana. Jak w pewien sposób przepełzły do niego przez te wszystkie lata, kiedy co noc spaliśmy obok siebie, maleńkie ciało gorące od snu, które mogło rozłożyć się przy mnie jak krzyż, bez obaw.

W końcu przyszedł do domu, zrzucił buty w przedpokoju, ale starannie odwiesił czapkę z daszkiem na odziedziczony drewniany wieszak. Nie mogłam się powstrzymać, więc krzyknęłam: – Gdzieś ty był? – Odpowiedział rozbawiony: – W lepszych częściach miasta!



IDA LINDE (ur. 1980), szwedzka pisarka, poetka, tłumaczka. W Polsce ukazały się: zbiór prozy poetyckiej *Jeśli o tobie zapomnę, stanę się kimś innym* oraz powieści *Poleciały w kosmos* i *Na północ jedźcie się, by umrzeć*. Autorka przekładów książek Idy Linde jest Justyna Czechowska.

Kiedy wszedł do pokoju, dostrzegłam, jak urosł, poza tym pocałował mnie lekko w policzek. Zapach kryształowego, pełnego obietnic wiosennego powietrza. Wziął szklankę wody i zaczął opowiadać, oparty o drzwi do swojego pokoju: – Jestem sam w sklepie spożywczym, regały są niezwykle wysokie, a alejki nieskończone. Szukam cię, wołam cię, mam, ale ty nie odpowiadasz, myślę, że mnie porzuciłaś. I nagle rozpoznaję twój brązowy płaszcz na końcu alejki, zaczynam biec z wózkiem, bardzo głośno hałasuje, waham się i zwalniam. Kiedy podchodzę bliżej, widzę, że szukasz czegoś w zamrażarce, ale zamierasz, odwracasz się do mnie powoli, twoja twarz jest zasuszona. Policzki zapadnięte, nie masz zębów, oczy są zgaszone. Ale to nie ty, tylko ja tam stoję z opakowaniem mrożonego groszku w dłoni i myślę, że oto umieram przez to, że widzę siebie jako śmierć.

Spojrzałam na jego potargane włosy, zaczątek zarostu w postaci meszku, policzki jeszcze zaróżowione od wiosny na zewnątrz, w najwyższym stopniu żywe. – Musisz się przespać – powiedziałam – jest późno. – Tak, to snu potrzebuję, przecież jestem nastolatkiem – odparł z wykrzywionym uśmiechem i zamknął za sobą drzwi do pokoju.

Ponieważ moje koszmary przeniosły się na chłopca, przestałam śnić. Noce to tylko miniony czas. Po przebudzeniu zabierałam się za to, co przerwałam wieczór wcześniej albo zaczynałam od początku, trudno dostrzec różnicę. Zawsze najpierw firanki, potem lampy i ekspres do kawy. Fajnie, że mój chłopiec zrobił się na tyle duży, żeby też pić kawę. Było to coś, co mogliśmy robić razem na długo po tym, jak skończyliśmy z wyklejankami i zabawą w chowanego. Mieliśmy co dzielić. Więc kiedy przygotowałam dwie filiżanki zamiast jednej, palce tańczyły ze szczęścia, kiedy odmierzały, rozlewały. Błogosławiona chwila przy stole w kuchni, kiedy dmuchając i siorbiąc, rozbudzaliśmy się szczególnym żarem kawy.

W pracy wszystko szło swoim trybem, ludzie mieli o czym gadać. Redakcja poruszała się jak ta maszyna, którą stanowiła. Myślałam o kolegach z pracy jak o zębatych kołach, większość z nich nosiła zresztą me-

taliczne kolory. Ołówkowe spódnice i marynarki. Ja jak zwykle miałam na sobie lekko wie gołębiobłękitną sukienkę o za długich rękawach. Szary blezer. Schudłam i cały czas było mi zimno. „Może to znak, że się starzeję – pomyślałam pod prysznicem – że to, co wcześniej ułożyło się jako zapasowy tłuszcz, teraz znikało w zastraszającym tempie”. Macica, która nigdy nie była i nie będzie miejscem, które coś nosi. Mojego chłopca nosiłam w sercu i na rękach. Mogło też chodzić o słynny wiek przejściowy, choć nic nie miało przechodzić w coś innego, sądziłam wówczas, że jestem i pozostanę taka sama.

Po pracy koledzy znów wrzeszczeli w pokoju mojego chłopca. I ten niepohamowany chichot. Czasem czułam się wykluczona za coraz częściej zamkniętymi drzwiami, ale tego popołudnia było takie piękne światło. Podczas gdy oni dorastali, ja siekałam kapustę i marchew. Wszystko było na swoim miejscu. Nie mieścili się przy rozkładanym stole, musieli zjeść na podłodze w jego pokoju, ja siedziałam w kuchni, nalałam sobie kieliszek wina i przysłuchiwałam się ich tajemniczym szmerom.

W nocy słyszałam, że mój chłopiec płacze przez sen, zairzałam do jego pokoju. Leżał w pozycji embrionalnej i skomlał jak jakieś zwierzątko z tym swoim już wydłużonym ciałem. Płacząca żyrafa. Usiadłam na brzegu łóżka i pogłaskałam go po policzku, to już nie brzoskwinią, chropowaty. Głaskałam go dokładnie tam, gdzie rósł, tak że się obudził. Popatrzył na mnie zdziwiony, a potem przyciągnął do siebie moją dłoń i ułożył ją sobie pod policzkiem. Łzy ściekały na zielone prześcieradło. – Wciągało mnie, mam – powiedział – do środka ziemi, było tam pusto jak w wiecznej przestrzeni, a potem wyleciałem przez szary otwór.

Czując ciężar jego głowy, spytałam: – Nie było siły przyciągania? – Przewiercała mnie absolutna samotność.

Musiałam zamknąć powieki, żeby się nie rozplakać, kiedy mówił dalej, chciałam je zszyć grubymi nićmi: – To uczucie przecięło mi rdzeń, mam, a potem płyn wyciekł w wieczność.

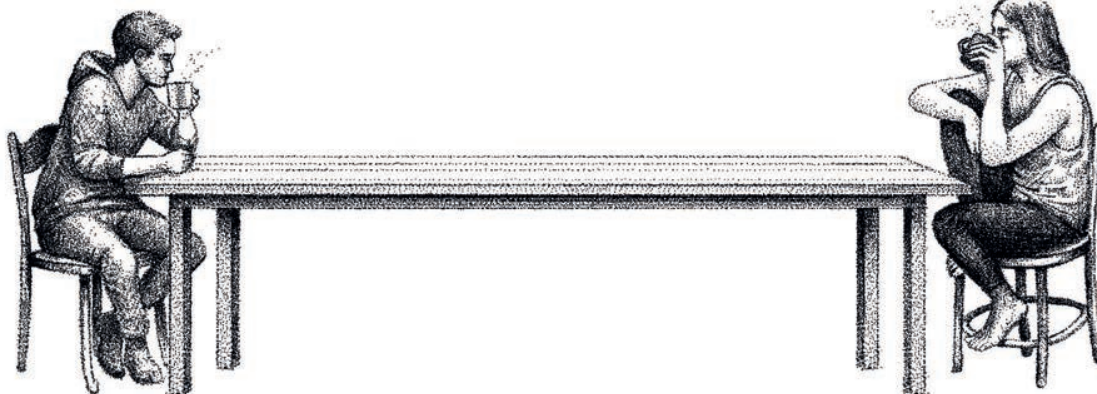
Następnego dnia moje utykanie znów się pogorszyło, ledwo wstałam z łóżka, lu-

pało w stopie i promieniowało do karku. Mój chłopiec musiał zaparzyć kawę, podał mi ją na kanapę i się uśmiechnął: – Teraz to ja się tobą opiekuję! – Rozśmieszyło nas to, pomógł mi założyć rajstopy, był tak delikatny, nie wiedziałam, czy wolno mi tak myśleć o moim chłopcu, ale i tak, gdy wiązał mi buty, pomyślałam, że pewnego dnia będzie cudownym kochankiem.

Trudno było z utykaniem dotrzeć do domu, po wyjściu z autobusu przysiadłam na chwilę na ławce. Po chodniku goniły się dwa szczury, poczułam o nie dziwną zazdrość, że były dwa, aż się musiałam roześmiać z własnej samotności. Być zazdrośną o szczury, kiedy w domu mam mojego chłopca. To nowe budownictwo wyгнаło je z podziemia, nikt nie wiedział, że pod dawnym terenem wojskowym, gdzie miały powstać nowe wieżowce, były kloaki, że niezłęcznione i tłuste szczury będą ganiać między podwórkami. Zaczęłam powoli iść, minęłam plac zabaw, gdzie zdjęto huśtawki, a reszta wyglądała jak szkielet, iść do tego, co uciulałam, by stworzyć własny świat.

Mój chłopiec znów płakał w nocy, a ja siedziałam na brzegu łóżka. Leżał przyciśnięty do ściany, przyglądałam się jego plecom, wszystkim małym mięśniom przylegającym do kręgow i łopatek. Potrząsnęłam nim lekko, żeby wybudził się z płaczu: – Co ci się śniło, kruszynko? – Odpowiedział z twarzą w poduszce: – Siedziałem w samolocie, który się rozbił. – To straszne – odparłam. – Spadaliśmy powoli, miękko i cicho osuwaliśmy się przez powietrze, a potem przez morze. – Nie próbowałaś się stamtąd wydostać? – Próbowałam, gdy samolot ułożył się już na dnie morza, uwolniłem się z ciała i dałem się porwać prądom, ale wtedy zobaczyłem własną twarz w środku samolotu, miała przerażoną minę.

Gdy mój chłopiec znów usnął, siedziałam u niego, licząc jego oddechy do stu. Słyszałam, jak sąsiad spuszcza wodę. Człowiekowi się wydaje, że jako jedyny nie śpi, a wtedy zawsze jest ktoś jeszcze. Tam po drugiej stronie. Ostrożnie położyłam rękę na ścianie, żeby niezauważenie pogłaskać to człapiące ciało. Po jakimś czasie słychać było wodę, sąsiad brał tuż obok prysznic, woda mogła



się połączyć przez ścianę, na mnie, mogłam siedzieć w morzu, utonąć. Z kuchni zobaczyłam, że ktoś jeszcze nie śpi w bloku naprzeciwko, kobieta siedziała przy stole w kuchni wpatrzona prosto przed siebie, ręce złożone, może pracowała do późna i właśnie wróciła do domu, zastanawiała się nad życiem, którym żyje. Wstała, otworzyła okno i zapaliła papierosa. Powoli wydmuchiwała dym w opustoszały wieczór.

Czas mijał mi i mojemu chłopcu jak wszystkim innym. Dalej pracowałam, w niektóre dni z łatwością, w inne z chandrą. Kiedy ktoś pytał, co słychać, zganiałam poważnie na pogodę, bo trudno było znaleźć dokładniejsze słowa na to, co się działo. Na życie. Czasem w piątki wieczorem wychodziłam na miasto ze znajomymi z pracy, ponieważ mój chłopiec i tak był z kolegami. Zjadaliśmy kolację w restauracji przy tej samej ulicy, przy której pracujemy, tak by cień wielkiej redakcji nadal nas łączył. Bo tak naprawdę nic innego nie kryło się za tym, że to właśnie my piliśmy tam razem wino. Każdy z nas mógł wstać, wyjść i nigdy nie wrócić, po miesiącu czy dwóch nawet byśmy nie pamiętali, że śmiałyśmy się z tych samych żartów i czule musnęłyśmy się dłońmi, zanim, zataczając się, ruszyliśmy przez noc w kierunku domów. W autobusie wzruszyłam się tym, że ludzie tak się postarali. Naszyjnik, woda po goleniu. Jak wszyscy stali przez moment przed lustrem i próbowali dostrzec w sobie możliwe piękno. Ja miałam szminkę, krwawiące usta, to jej używałam wśród ludzi jako ochronę i zaproszenie. Wszystko było i miało nadal być podwójne.

Kiedy wróciłam do domu po jednym z tych piątkowych wieczorów, mój chłopiec nie był w swoim pokoju, ale siedział przy stole, gapiąc się przed siebie. Nie zareagował, że

wróciłam, więc usiadłam naprzeciwko, żeby wmusić się w jego spojrzenie, ale on dalej patrzył jakby obok mnie. Spytałam: – Coś się stało? – Mamo, jesteśmy w sklepie, a ty coś ukradłaś. – Co ukradłam? – Może tampony, nieważne, kiedy wychodzimy ze sklepu, widzę, że ubrana na biało ekspedientka nas śledzi. Ty idziesz dalej, ale ja skręcam, żeby się schować w jakiejś komórce, ale ekspedientka nie śledzi już ciebie, tylko otwiera moją kryjówkę. – Co się wtedy dzieje, kruszynko? – Duszę ją.

Instynktownie chwyciłam się za szyję, mój chłopiec to zobaczył. Teraz wbił we mnie wzrok, ale zabrakło mi słów. Przestałam mieć wrażenie, że to moje mieszkanie, to teraz obca przestrzeń, nie mogłam nawet sięgnąć po szklankę. Nalać sobie czegoś. Pójść do łazienki. Byłam przykuta do krzesła, którego poduszki nigdy nie wymieniłam. – Nic nie powiesz? – spytał. Rękę miałam nadal na szyi, a język przyciśnięty do suchego podniebienia. – Nie – odparłam – nic nie powiem. – Parsknął, po czym wstał tak szybko, że przewrócił krzesło i poszedł do pokoju. Siedziałam w miejscu, marzyłam, żeby móc się kontrolować, żeby móc się poruszyć, ale nie opuszczał mnie strach przed jego palcami wokół mojej szyi. Kiedy w końcu udało mi się wstać, podniosłam jego krzesło i spostrzegłam, że w oparciu jest małe pęknięcie, jeśli drewno by żyło, wypłynęłaby ciecz.

Tej nocy bałam się usnąć. Mój chłopiec nie wychodził już do mnie, a ja siedziałam na brzegu kanapy i gapiłam się w jego drzwi. Ze środka nie docierały żadne odgłosy. Może już spał, a ja nie, jak gdy był mały, zadanie mamy to strzec jego bytu. Niezostawianie go samego ani w dzień, ani w nocy. Różnica jest taka, że wtedy bałam się, że umrze, liczyłam każdy oddech, kładłam dłoń na jego kruchej klatce piersiowej, żeby upewnić się, że ta

się unosi i opada, a teraz bałam się własnej śmierci. Nie że rzeczywiście mógłby mnie zabić, a może dokładnie tak myślałam.

W sobotę do domu wmaszerowali koledzy mojego chłopca. W przedpokoju wielkie buciory, rozdziawione jak czarne dziury. Przywitali się i grzecznie uśmiechnęli, ich także widziałam, jak rosną. Jeden z nich grał w koszykówkę, jego długie nogi ledwo mieściły się w naszym mieszkaniu, jedna dziewczynka miała silny głos, od jej śmiechu wibrowały ściany. Pamiętam, że jej rodzice wyprowadzili się za granicę, a ona mieszka sama, nie będąc do tego wystarczająco dojrzałą, był jakiś dysonans między nierównym ciałem a powagą w oczach. Mój chłopiec opowiadał, że żeby dawać sobie radę, rano, przed lekcjami, pracuje w szkole jako sprzątaczką. – Chciałabyś, żeby i ja zaczął pracować? – spytał, jakby nagle chciał dokładać się do gospodarstwa, ale odmówiłam. Wtedy sądziłam, że jeszcze przyjdzie czas, że będzie pracował.

Pomyślałam, że przygotuję jedzenie dla dzieci, które niebawem skończą szkołę i wybiegną do własnych wyborów. Że dostaną ziemniaczaną zapiekankę z wędzoną wieprzowiną. Może poczęstuję ich winem, o ile to nie za wcześnie, ich rodzicom mogłoby się to nie spodobać. Ale nie znalazłam noża, żeby móc dalej rozmyślać, krojąc. Szukałam w szufladach, zawsze było go widać, bo trochę błyszczał. Ani w zlewie. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio go użyłam. Może mój chłopiec? Zapukałam ostrożnie do jego drzwi. Bez odpowiedzi, ale coś było słychać. Niewyraźne mruczenie. Zapukałam mocniej, a wtedy odpowiedział głos, który tak dobrze znałam: – Co jest? – Mogę wejść? – Zrobiło się cicho, a potem otworzył drzwi, zasłaniając całym ciałem widok: – Co jest?

– Zastanawiam się tylko – zaczęłam, a potem spojrzałam na jego stopy: – Dlaczego masz dwie różne skarpetki? – Chyba nie mówisz poważnie – odparł i już chciał zamknąć drzwi, ale chwyciłam klamkę. Zdziwienie między nami. – Nie, zastanawiam się tylko, czy widziałeś gdzieś nóż? – Dalej patrzył na mnie zdziwiony, jakbym mówiła w języku, którego nie zna, po czym powiedział: – Nie, nie widziałem noża, zostaw nas w spokoju.

Dziwne uczucie, ścielić kanapę, kiedy znajomi byli u mojego chłopca, nie mogłam przecież tam leżeć, kiedy będą wychodzili do domu, bezbronni. Moja śpiąca twarz otwarta, nagie ciało pod cienką koszulką. Piersi. Więc siedziałam w kuchni, czekając, aż wyjdą, nie przygotowałam kolacji, zrobiłam kanapeczki. Prawie jak tartinki, samotne przyjęcie. Ale ponieważ długo siedzieli, a ja miałam następnego dnia pracować, w końcu się położyłam. Pierścione pod poduszką. Ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślałam przed zaśnięciem, było to, że żywi mają obowiązki wobec żywych.

W redakcji mówiono o cięciach, mieli zmniejszyć produkcję. Wiele osób się niepokoiło, ale ja czułam się pewnie i dlatego byłam powściągliwa. Pracowałam intensywnie w milczącej mgłę, która przetaczała się przez biuro i po wszystkich pomarańczowych książkach. Przyjeżdżałam tu wcześniej niż pozostali, więc popołudniami mogłam wcześniej wychodzić do domu, żeby mieć z nimi jak najmniej wspólnego.

Po powrocie do domu weszłam do pokoju mojego chłopca. Inny zapach, starszy. Ubrania przewieszzone przez oparcie i skarpetki na podłodze. Na biurku kartka z planem ostatniego dnia w liceum, świętowanie, mieliśmy się spotkać na szkolnym podwórku. Podeszłam do pościelonego łóżka i ostrożnie podniosłam poduszkę. Nic tam nie było. Otworzyłam szafę i wysunęłam szufladę z koszulkami, delikatnie dotknęłam ich ręką. Stałam na środku podłogi, wsłuchując się w odgłosy z przedpokoju, w razie gdyby przyszedł, nie rozumiałam, czego szukam. Przejechałam stopą po dywanie, pod spodem nic nie było. Dłonią błądziłam po półce nad łóżkiem, ale tam też nie było noża. W chwili, gdy wyszłam z jego pokoju, otwo-

rzył drzwi wejściowe: – Cześć, kruszynko! – Zbadał mnie wzrokiem: – Co cię tak rozbawiło? – Nic – zająknęłam się – no tak, to już jutro. – Rzucił się na kanapę, była dla niego za mała, powiedział: – Kupiłem garnitur! – Skąd miałeś pieniądze? – Dostałem od kolegi, jest cholernie bogaty. – Widziałam, jak mój chłopiec się nurza, w ustach poczułam niesmak: – Co to za kolega? – E, nie znasz go – jego trzepocząca nonszalancja – czy byłabyś tak dobra i ugotowała mi kaszkę?

Ugotowałam owsiankę, bo i tak nie mieliśmy noża, zjedliśmy ją z dżemem z borówek i mlekiem. Grudki wyglądały jak substancja mózgowia. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, słuchaliśmy, jak przez uchylone okno wpada świergot ptaków i kłótnia dwojga dzieci w piaskownicy na podwórku. Śliczna melodia codzienności akompaniowała naszemu jedzeniu. Zastanawiałam się, czy pamięta, jak to było, gdy był mały, jak



blisko siebie byliśmy, że siedział mi na kolanach, gdy próbowałam włożyć do tych usteczek bananowy mus. Ale nie chciałam pytać. Nie chciałam przypominać, że w niektórych sprawach czas decyduje za nas, chciałam zostawić go w spokoju. Miał skończyć szkołę, a dalej nie wiedzieliśmy nic. Sztuka życia w niepewności to sztuka, której nie nauczyłam się szczególnie dobrze, ale niebawem miałam musieć ją opanować.

Krążyłam po mieszkaniu, podczas gdy mój chłopiec przymierzał w swoim pokoju garnitur. Wkrótce zakończy to, co wybrało za niego społeczeństwo, i będzie decydował samodzielnie. Nie wiedziałam, co miałoby to być, nie chciałam się do tego przyznać, ale czułam, że się go boję. Tego, do czego był zdolny. Ten chłopiec, który niebawem stanie się mężczyzną, ze wszystkim, co to oznacza. Zaczęłam sprzątać, przetałam szmatką parapet. Ciało miałam ociężałe i powolne, jakby grawitacja mocniej ciągnęła je ku ziemi. Podwinęłam rękawy sukienki i otworzyłam piekarnik, chciałam i tam wytrzeć, ale brud

się wgrzył, ręce szybko zrobiły się świecące od tłuszczu. Usiadłam więc przy stole z tym moim zbyt długim ciałem i zastanawiałam się, czy mogłabym być kimś innym. Czy coś mogłam zrobić inaczej, żeby mój chłopiec stał się kimś innym. Czy może był dokładnie taki, jaki miał być, to, co było w nim, należało do niego, a nie do mnie. Wyszedł z pokoju: – Dlaczego tu tak siedzisz? – Nie wiem – odparłam – akurat teraz nic nie wiem. – Mamo – odezwał się czule – musisz wiedzieć, co zrobisz z własnym życiem, niedługo będziesz przecież dorosła! – Zaśmiałam się. Cudownie było nie musieć się bać, chciał dobrze. To mój chłopiec zawsze płakał, gdy przez przypadek mnie skrzywdził. Kiedy postawił mi krzesło na stopie, zaczepił zamkiem o moje włosy. Podeszłam do niego, dotknęłam jego długiego ciała i się przytuliliśmy. Staliśmy tak objęci. Potem mnie puścił i powiedział: – Wyjdę na chwilę, nie czekaj na mnie. – Dobrze – odparłam

– potrzebuję odpoczynku, jutro wielki dzień.

Kiedy nadszedł ten dzień, stałam na szkolnym podwórku pośród innych rodziców, część z nich przyszła w dużych grupach, z rodzeństwem i kuzynami. Byłam sama, ale i tak trzymałam piękny plakat z jego imieniem ozdobionym zawijasami. Pomogła mi jedna z graficzek w pracy, ta z grubym końskim ogonem i piersiami wystającymi spod koszulki, nie mogłam przestać się gapić, podczas gdy wycinała zdjęcie mojego chłopca. Podeszedł w garniturze, podał mi kopertę i lekko przytulił. Przez chwilę staliśmy w gwarze, potem poszliśmy do pobliskiej kawiarni. Zamówiłam tort marcepanowy i szwarcwaldzki. Kiedy kasjerka chciała je zapakować, powiedziałam: – Nie, zjemy je na miejscu. – Zdziwiona uniosła wyskubane brwi i podała nam dwie łyżeczki. Mój chłopiec opowiedział, że dyrektor przemawiał, a ta dziewczyna o mocnym głosie zaśpiewała piosenkę o przyszłości. Jedliśmy, aż nas zemdliło, zostawiliśmy rozpakowane resztki na tortowym papierze. W powietrzu czuć było lekki deszcz, który kładł się na ludziach ni-

czym brokat. Mój chłopiec miał się spotkać z przyjaciółmi, a ja postanowiłam wrócić do domu na piechotę. Nigdzie się nie spieszyłam, miałam mnóstwo czasu i zero pojęcia, co z nim zrobić.

Po powrocie do domu usiadłam przy stole na miejscu mojego chłopca i zerkałam na telewizor sąsiada. Dwie kobiety poruszające się po czarno-białym krajobrazie. Miały włosy ciasno splecione, ale u jednej kosmyk po kosmyku wypadały, a druga próbowała delikatnie wczepić je palcami z powrotem w warkocz. Po jakimś czasie smak tortu opadł i nowy głód szarpnął ciałem. Chleb, masło i ser. Ale gdzie się podział nóż? W redakcyjnej kuchni były noże do krojenia owsianych ciasteczek, które przynosiłam ze sobą, więc go tam nie zabrałam. Czyżbym go przypadkiem wyrzuciła? Może leżał w obierkach po ziemniakach w zlewie i przez pomysłkę powędrował do śmietnika? Ale był duży, skaleczyłabym się, odcięła prawie całą końcówkę palca. W zamian wypłam szklankę wody. Usiadłam przy stole z czerwonym dzbankiem i piłam jedną szklankę za drugą.

Kiedy tego wieczoru się położyłam, wyobrażałam sobie, co robi mój chłopiec, że siedzą na jakimś trawniku, ktoś miał z sobą w butelce przezroczysty alkohol. Może palili papierosy, pokaszywali. A może wędrował samotnie przez miasto, zawsze miał w sobie jakiś upór. Myślałam, co teraz będzie robił. Nie wspomniał o studiach ani o żadnej pracy, ale poruszał się z taką pewnością siebie, że nie czułam, że mogę zapytać. U mnie też mógłby zostać, przez tyle lat przygotowywałam się na to, że mnie opuści, że jeśli miało by to jeszcze potrwać, każdy moment traktowałabym jak luksus.

W pracy wciąż było niewesoło, zwolniono trzy osoby, a my, pozostali, mieliśmy przejąć dodatkowo ich zajęcia. Na moim biurku leżało mnóstwo stosów, za którymi się kryłam, wszystkie te podręczniki, które miały nauczyć innych decydujących rzeczy, a które mnie uczyły, że jeśli człowiek ma zajęte ręce, nie musi myśleć o czasie. Przestaliśmy wychodzić w piątki na miasto, unikaliśmy aspektu towarzyskiego, ale wciąż wymienialiśmy uprzejmości, zanim każde z nas nie powiedziało „Do jutra”.

Ponieważ kiedy wracałam do domu, mojego chłopca nie było, nie wiedziałam, co robi całymi dniami, może sądził, że ma wakacje, chociaż już skończył szkołę, położyłam się na kanapie, żeby się zdrzemnąć. Żyłam jakimś niezyciem, miałam mgliste wspomnienie, że kiedyś byłam we wspólnej melodii, najpierw z kochankiem, potem z chłopcem i kolegami z pracy. Dopiero, kiedy zadzwonił budzik, zorientowałam się, że usnęłam, na zewnątrz było ciemno, ale i tak wstałam. Zmierzch i ta jego melancholia. Starłam się zorientować, o co chodzi w wiadomościach, ale wzrok odbiegał cały czas od obrazków i koncentrował się na mieszkaniach sąsiadów. Wyglądało na to, że w niektórych domach przygotowywano kolację, znów poczułam głód, ale nie miałam siły na gotowanie. Spanie popołudniami jest zgubne dla rąk. Być może chciałoby mi się coś ugotować, gdyby mój chłopiec wrócił, zazwyczaj wprawiał mnie w ruch, ale jego nie było.

Zmieniłam sobie pościel na świeżą. Przez chwilę siedziałam na rozłożonej kanapie z dłońmi na kolanach. Poszłam do pokoju mojego chłopca i jemu też zmieniłam pościel. Otworzyłam szufladę jego biurka, nie wiedziałam, skąd we mnie ta pewność, że znajdę u niego nóż, ale w szufladzie leżało tylko kilka kartek. Paragon za garnitur, który naprawdę był tak niesamowicie drogi, że aż wstrzymałam oddech, i jeszcze ten rysunek, który ktoś z kolegów narysował, gdy byli mali. Włożyłam wszystko z powrotem do szuflady i umyłam zęby. Ale zaśnięcie przed powrotem mojego chłopca zdawało się niemożliwe, nie tylko dlatego, że chciałam się upewnić, że wrócił do domu, ale też że wciąż jestem człowiekiem. Więc dalej kręciłam się po domu, złożyłam kilka ubrań rzuconych na oparcie kanapy. Czekałam. Schowałam ubrania do szafy. Znów to porządkowanie przed śmiercią. Jeśli naprawdę bym teraz umarła, sprzątnięcie mnie trwałoby niecałą godzinę. Paszport, ważne numery telefonów i kody leżały w kopercie za ekspresem do kawy. Mój chłopiec o tym wiedział. Jeśli nie radziłby sobie z moją śmiercią, mógł po prostu przekazać komuś kopertę.

Ktoś zadzwonił do drzwi, gdy otworzyłam, stało tam dwoje policjantów. Zdążyłam pomyśleć, że mają na sobie grube mundu-

ry, że musi być im ciężko z tymi paskami. Policjant spytał, czy mogą wejść, a ja cofnęłam się w głąb mieszkania. Kanapa była już rozścielona, to wstydliwe, gdy wreszcie ktoś przyszedł, wskazałam im pospiesznie drogę do kuchni. – Proszę usiąść – odezwał się jeden z policjantów, ale uparłam się, żeby to oni usiedli przy stole. Szklanka i czerwony dzbanek wciąż tam stały od zakończenia szkoły mojego chłopca. Otoczyłam ciało ramionami, stojąc w kącie koło ekspresu do kawy, myślałam o kopercie z moją śmiercią leżącą za moimi plecami, czy miałam ją dać policjantom? – Mamy trudną wiadomość – powiedział ten sam, który spytał, czy mogą wejść. Jego głos był chropowaty, o głosie policjantki nic nie wiedziałam, może nie miała na to słów. Ale kto ma słowa na taką zbrodnię, pomyślałam, zanim dowiedziałam się, jaka zbrodnia została popełniona, ale mojego chłopca nie było w domu.

Na naszych miejscach siedziało dwoje obcych ludzi, co oznaczało, że nastąpiła jakaś zmiana. To, co było wcześniej, miało stać się czasem przed. Policjant z chropowatym głosem powiedział: – Popełnił zbrodnię, zatrzymaliśmy go w areszcie, a teraz musimy przesłuchać panią w sprawie syna. – To nie jest mój syn – odparłam. Policjantka, która wcześniej się nie odzywała, wyjęła z kieszeni kartkę, po czym powiedziała głosem splamionym dystansem: – Z kim pani mieszka? – Z moim chłopcem – odparłam. Przytaknęła, a potem kontynuowała ze wzrokiem wbitym w tamtą kartkę: – No więc, pani chłopiec popełnił zbrodnię i jest zatrzymany. – Aha – odparłam – a jaką zbrodnię popełnił? – Zamordował szesnastoletniego chłopca. – Aha – powtórzyłam. – Chcielibyśmy teraz postawić kilka pytań – odezwał się chropowaty głos. – Aha – powiedziałam – czy mogłabym najpierw ja postawić pytanie, bo mam tylko jedno, jak to zrobić? – Policjanci wymienili spojrzenie, dużo myślałam o tym spojrzeniu, czy oznaczało zdziwienie, czy może było po to, by uzgodnili, jak mają kontynuować, bo odparli niemal jednocześnie: – Udusił go. – Aha, a więc po prostu gdzieś podziałam ten nóż, teraz możecie zadać wasze pytania.

Powieść *Idy Linde Mama mordercy* ukaże się 26 kwietnia nakładem wydawnictwa LOKATOR.

John Oliver: Publiczność mnie nie lubi

tekst EMMA BROCKES

przełożył KRZYSZTOF CIEŚLIK

JAKIM SPOSOBEM wulgarny Brytyjczyk, który „rozumie amerykańską politykę piąte przez dziesiątę”, stał się uwielbianym komikiem telewizyjnym po drugiej stronie Atlantyku?

Na środku Times Square wisi ogromny billboard z Johnem Oliverem, który zapowiada piąty sezon jego programu *Przegląd tygodnia: Wieczór z Johnem Oliverem* i który sprawia, że komik podróżuje do pracy inną drogą [niedawno ruszył szósty sezon – przyp. red]. Od kiedy przed jedenastoma laty przyjechał do Stanów Zjednoczonych, jego styl komediowy opiera się na tym, że jest Brytyjczykiem zagubionym w innym kraju, a zarazem kimś, kto nie czuje się dobrze we własnej skórze. Ten styl idzie w parze z dogłębnym zażenowaniem, w jakie czterdziestoletniego Olivera wprawiają zewnętrzne znamiona sławy.

– Wszystko wydarzyło się tak szybko – mówi komik, nieszczęśliwy nie tylko z powodu plakatu reklamowego, lecz także, w iście brytyjskim stylu nurzania się w coraz większym zakłopotaniu, z uwagi na niewdzięczność wobec swych pracodawców, którą można by widzieć w jego niechęci do billboardu. – Wiem, że po jedenastu latach dziwnie to zabrzmiało, ale mam poczucie, jakbym nie miał od tego ani chwili wytchnienia. – Uśmiecha się szeroko z chłopięcym

niedowierzaniem, które w dużej mierze tłumaczy urok jego programu. – To absurdalne, że jestem na plakacie na Times Square.

OBSERWOWANIE PRZEMIANY Olivera z wyglądającego trochę jak Beatles młodego współpracownika Jona Stewarta w mężczyznę w średnim wieku, który ma tyle siły – zarówno w przenośni, jak i dosłownie – by poprowadzić z sukcesem własny program, było dziwnym doświadczeniem, zwłaszcza dla brytyjskich widzów. *Przegląd tygodnia*, w którym wraz z zespołem wykorzystuje komizm, przybliżając historie zbyt skomplikowane bądź zbyt nudne, by mogły wzbudzić zainteresowanie kanałów informacyjnych, to względnie skromny jak na standardy HBO produkt, ale bez wątpienia ważne źródło prestiżu stacji. Oglądanie, jak Oliver trafia w punkt żartami o niegodziwym planowaniu miasta albo dowcipkuje sobie z tego, kiedy Narodowa Agencja Bezpieczeństwa może – zgodnie z potwierdzeniem Edwarda Snowdena – przyjrzeć się zdjęciom jego penisa, nie tylko sprawia, że widz czuje się

inteligentny. Jest w tym także lekko niezręczne poczucie, że śmiejemy się z tego, co nie powinno nas bawić. W swym najlepszym – i zwykle najbardziej wiralowym – wydaniu *Przegląd tygodnia* jest czymś niezwykle rzadkim: świetnym programem rozrywkowym o pewnej dawce społecznej użyteczności. W najgorszym – unosi się nad nim aura zbytnej nerwowości, charakterystyczna dla kogoś, kto próbuje tchnąć życie w coś niewymownie nużącego. – Zrobiliśmy kilka naprawdę nudnych rzeczy – mówi Oliver z zachwytem człowieka, który przeciwstawił się wszystkim komercyjnym zasadom w branży i mimo to wyszedł z tego zwycięsko.

Wiąże się to w dużym stopniu z samym Oliverem. Przy programie pracuje duży zespół, w tym ośmioro autorów, czworo researcherów, czworo producentów materiałów filmowych i tyle samo ich asystentów, którzy zajmują się researchem. Tyle właśnie ludzi potrzeba, by odcinek poświęcony przykładowo temu, jak niezamożni Amerykanie pochodzenia iberyjskiego padają ofiarą marketingu wielopoziomowego, przemienić z godnego uwagi wstępniaka w narzędzie komizmu, które i tak potrafi przyprawić prawników HBO o ból głowy. O ile Jon Stewart [amerykański komik – przyp. red.], mentor Olivera, jest pełnym ogłady i niewzruszonym człowiekiem, którego styl komediowy wiąże się z nieustannym opieraniem się o krzesło,



o tyle Oliver to ten gość, który gorączkowo się pochyla i u którego szukamy reakcji w rodzaju „O w dupę!”. Trudno idealnie utrafić w taką tonację, zważywszy na to, że Oliver to – przynajmniej do pewnego stopnia – człowiek z brytyjskim akcentem, który stroi sobie żarty z innego kraju.

– Na pewno budzę wiele reakcji typu „wracaj, skąd przybyłeś” – stwierdza. – Choć jeśli ktoś uważa, że sam akcent narzuca człowiekowi, czy może o czymś mówić, czy nie, to bardzo upraszcza sytuację. Sądzę, że chodzi o to, co znajduje się pod tym akcentem – czyli o intencję, która może ludzi drażnić albo krzepić. Dość szybko stało się jasne, że jest we mnie zaangażowanie emocjonalne i że coraz częściej mówię „my”, a nie „wy”. Kiedy zaczynałem w *The Daily Show*, często padało, że „wy” to, „wy” tamto, ponieważ opierało się to na prostym spojrzeniu kogoś z zewnątrz, kto z czegoś się nabija. Ale uległo to zmianie, ponieważ przestałem się czuć wyobcowany. Gdy mowa o Ameryce, teraz zawsze mówię „my”.

TO POCZUCIE WYOBCEWANIA zostało po części złagodzone, gdy Oliver poznał swoją amerykańską żonę, Kate. To była lekarka wojskowa, na którą wpadł podczas krajowej konwencji republikanów w 2008 roku i która pochodzi z zupełnie innego świata niż on. Po części osłabło ono zaś po prostu dlatego, że długo mieszka w Stanach.

– Dość szybko wymazałem to z pamięci – mówi o odruchowej brytyjskiej protekcyjności wobec Ameryki. – Bo dopóki się tu nie było, dopóty się nie rozumie, jak bardzo skomplikowany i do pewnego stopnia podzielony jest to kraj. Widzisz ich na igrzyskach olimpijskich, jak skandują pierwsze litery nazwy swojej ojczyzny, jakby wszyscy zgadzali się co do tych samych rzeczy, ale zanim tu nie trafisz, nie zdajesz sobie sprawy, że ta zgoda ledwie funkcjonuje. Wygodna otulina antyamerykanizmu szybko znika. A potem zacząłem zakochiwać się w złożoności tego kraju. To dziwna sytuacja, zwłaszcza teraz.

Prezydentura Donalda Trumpa, która – jak początkowo zakładano – miała być darem dla komików prowadzących wieczorne programy, okazała się kłopotliwa. Jeśli celem *Przeglądu tygodnia* nie jest przekonywanie

przekonanych, lecz tych, którzy się wahają, jest to szczególnie trudne w przypadku Trumpa, człowieka, z którego trudno subtelnie żartować i na temat którego niewielu ludzi jest skłonnych zmienić zdanie. Niemniej Oliver mówi: – Chcemy zatrzymać ludzi. Ponieważ w innym razie pojawia się niebezpieczeństwo krzyczenia wprost do komory głosowej.

Najbliżej tego momentu ekipa *Przeglądu tygodnia* była w lutym 2016 roku. Numer Olivera *Uczyńmy Donalda znów Drumpfem*, w którym kpił sobie z tego, że ówczesny kandydat porzucił swoje nazwisko rodowe, rozszedł się wiralowo jak skecz Tiny Fey o Sarah Palin w 2008 roku i wykroczył poza HBO, docierając do ogromnej publiczności. Klip, który na samym Facebooku obejrzały sześćdziesiąt dwa miliony widzów, stał się – jak stwierdził Oliver – „znacznie popularniejszy niż powinien” i choć dostarczyło mu to „radości”, stawiało także przed pewnym dylematem. – Wiedzieliśmy, że zwróci się na nas więcej oczu, niż na to zasługujemy, niż pozostałoby z nami w kolejnym tygodniu, a pracowaliśmy wtedy nad odcinkiem poświęconym okręgom miejskim, co jest okrutnie nudne – mówi. Jeśli purystyczne instynkty Olivera zostały kiedykolwiek poddane próbie, to właśnie tydzień po Drumpfie. Na wspomnienie monologu otwierającego tamten program chichocze. – To była naprawdę dobra zabawa: przedstawić temat i powiedzieć: „W tym tygodniu będziemy rozmawiać o okręgach miejskich – do widzenia państwu! Nie zmieniliśmy się! Ten program zawsze był taki fatalny! A tamten sukces to tylko odchylenie od normy, które wszyscy po prostu jakoś znieśliśmy!”.

GDYBY TRZYDZIESTOLETNI OLIVER nie dostał zaproszenia z *The Daily Show* na przesłuchanie w Stanach Zjednoczonych, można by go sobie wyobrazić teraz jako kasowego i powszechnie lubianego lokalnego komika, który z przymrużeniem oka patrzy na wiadomości w Radiu 4. Ukończywszy Cambridge, odniósł spory sukces jako stand-uper, nic nie zapowiadało jednak tego, że zyska sławę. Nie miał zresztą zbyt wygórowanych oczekiwań. Oliver, syn dwojga nauczycieli, dorastał w Bedford, w domu rozpolitykowanym przez cięcia Thatcher w budżecie edukacyj-

nym. Gdy miał dwadzieścia kilka lat, sama myśl o tym, że będzie zarabiał na życie jako komik, zakrawała na żart.

Miał również świadomość własnych ograniczeń. – W dzieciństwie uwielbiałem robić przedstawienia – mówi. – Taki był początek tej historii. A gdy tylko zacząłem występować jako komik, wszystko zeszło na dalszy plan, ale – zniża głos do szeptu – nie jestem zbyt dobrym aktorem – zanosi się śmiechem. – Mogę grać, dopóki wcielam się w rolę samego siebie pod innym nazwiskiem. Występowałem w serialu NBC *Community* i tak grałem siebie. W nowym *Królu lwie* podkładałem głos pod ptaka i to też będę ja. Tyle że jako ptak.

W pierwszych latach kariery Oliver cieszył się szacunkiem większych gwiazd brytyjskiej rozrywki. W 2003 roku pracował z Armandem Iannuccim nad programem radiowym *The Gash*, a w pewnym momencie zwrócił na siebie uwagę Ricky’ego Gervaisa, który ostatecznie polecił go Jonowi Stewartowi. Do 2006 roku, gdy trafił na przesłuchanie do *The Daily Show*, nie był ani razu w Stanach Zjednoczonych. Zważywszy na ambicje programu Stewarta i tempo, w jakim jest utrzymany, nie mieści się w głowie, że Oliver pojawił się w nim, jak to ujmuje, „rozumiejąc amerykańską politykę piąte przez dziesiąte”. Przez pierwszych sześć miesięcy bez przerwy googlował podstawowe fakty na temat systemu rządów i próbował nadrobić wszystkie przegapione aluzje. Nawet dziś zdarza mu się nie zauważyć jakiegoś niuansu. Wspominam o gagu związanym ze śmiercią aktorki Mary Tyler Moore [znanej z ról przełamujących stereotypy płci – przyp. red.], który zrobił w minionym sezonie *Przeglądu tygodnia*, i trudno mi uwierzyć, że uważa ją za postać zabawną w taki sam sposób, jak – powiedzmy – brytyjską aktorkę Felicity Kendal [grała „dziewczynę z sąsiedztwa” – przyp. red.].

– Tak! – wykrzykuje. – No więc Tim Carvell [showrunner, czyli producent wykonawczy programu – przyp. tłum.] napisał ten tekst i był to doskonały dowcip. Okropnie podobał mi się pomysł, który za tym stał, i w ogólnym sensie wiem, kim jest Mary Tyler Moore. Ale – uśmiecha się szeroko – nie czuję tego. Chodzi o to, że Amerykanin może zażartować z Johna Cravena [znany dziennikarz BBC – przyp. red.], ale czegoś by w tym brakowało. – Oliver zastanawia się przez chwilę. – Swoją

drogą sądzę, że John Craven jako jeden z wielu pracowników BBC nie był przestępcą seksualnym [w latach 2012-2013 wobec pracowników BBC prowadzono szereg postępowań dot. wykorzystywania seksualnego dzieci – przyp. red.].

Te rozbieżności kulturowe działają czasem na korzyść Olivera. Mówiąc o przestępcach seksualnych, wykorzystał historię Jimmy’ego Savile’a, zupełnie nieznanego w Stanach Zjednoczonych, aby wywołać efekt obcości w dyskusji na temat usunięcia pomników konfederatów [Savile to dziennikarz muzyczny BBC, któremu po śmierci w 2011 roku Scotland Yard udowodnił wielokrotną pedofilię – przyp. red.]. – Wydawało się, że istnieje sposób – tłumaczy Oliver – by ludzie zmierzli się z myślą, że coś, co dawniej było uwielbiane, może znaleźć się w nowym kontekście, i to do tego stopnia, że nie wypada już tego świętować. Doszedłem więc do Jimmy’ego Savile’a, mówiąc: „Słuchajcie, kochaliśmy tego człowieka, pisałem do niego, stawialiśmy mu pomniki, ale potem zdaliśmy sobie sprawę, że trzeba je usunąć, co prowadzi nas do głównego tematu: Konfederacji [w USA toczy się dyskusja o zrobieniu z pomnikami i symbolami Konfederacji – przyp. red.]. O kurwa. No, ale do tego momentu w zasadzie byliśmy zgodni: rzeczy tracą swój pierwotny kontekst”. Niesamowicie było tłumaczyć, kim jest Jimmy Savile, ludziom, którzy nie mają o nim zielonego pojęcia – cała dziwaczność tej postaci! Dla amerykańskiego widza naturalne było pytanie: jak mogliście nie wiedzieć? Przecież na pewno były jakieś sygnały ostrzegawcze. Nie trzeba było z nim żyć, jak Louis Theroux [autor filmu o Savile’u - przyp. red.], żeby mieć świadomość, że coś jest grane.

PROGRAM OLIVERA z pewnością nadawałby się dla szerszej widowni, gdyby gospodarz mniej przeklinał. – Mówiono mi to – oświadczają. – Ale chyba i tak warto. Lubię przeklinać, a w numerach, o których mówimy, dobrze umieszczone wzmocnienie czasem wydaje się konieczne, żeby spuścić trochę powietrza z tematu.

Chodzi także o to, aby nie mówić do widza protekcyjnym tonem. Największym zagrożeniem dla programu takiego jak *Przeгляд tygodnia* jest właśnie protekcyjny lub

cyniczny ton. Oliver stara się unikać ich obu, zwracając się do publiczności nieco przesadzoną wersją swego zwyczajnego głosu i nie zakładając, że ci, którzy się z nim nie zgadzają, to idioci. Weźmy przykładowo ruch antyszczepionkowców. – Chcieliśmy zmierzyć się z emocjonalną paniką, wiążącą się z posiadaniem dziecka i wysłuchiowaniem rzeczy, które pozornie są niesamowicie przerażające, aby utrzymać tych widzów – mówi. – Ale pod to wszystko podłożyliśmy naukę, żeby człowiek dotrwał do końca programu i powiedział: „Nie ma tu pola do racjonalnej dyskusji”.

Jaką wymierną wartość mają klipy takie jak ten o Drumpfie, gdy stają się wiralami? – Pewnie... cóż, żadną? – śmieje się Oliver. – Jak rozumiem, *Gra o tron* ma konkretną wartość: to maszt namiotowy, trzymający całe to płótno. Myślę więc, że mamy naprawdę małe znaczenie przy tych gigantycznych, międzynarodowych produkcjach. Tak naprawdę zupełnie nie rozumiem, jaka jest nasza wartość.

Kiedy jego zdaniem program oznacza największy sukces? – Chyba wtedy, gdy czujemy, że zrobiliśmy coś naprawdę trudnego i dobrze to zrealizowaliśmy. W mniejszym stopniu chodzi o to, jak coś zostało przyjęte, w większym zaś o ten moment, gdy myślimy sobie: „Cholera, to było trudne i, jak sądzę, zabawne, a przy okazji oberwało się porządnie niezwykle wpływowym firmom”.

Za sukces uważa także nakłonienie ludzi – w tym samego siebie – do podania w wątpliwość własnych przekonań. Jednym ze skutków ubocznych jego małżeństwa z Kate, z którą ma dwuletniego syna (jest przytłoczony tym, co go czeka w pobreitowym świecie, bez swobodnej możliwości przemieszczania się w granicach Unii Europejskiej), była rewizja stereotypowych poglądów na temat wojska.

– Sądzę, że jeden z problemów Ameryki polega na tym, że ma ona gigantyczną armię, z którą ogromna część mieszkańców

nie czuje żadnego związku. Można przez ponad dekadę prowadzić wojnę, jak oni w Afganistanie, i naprawdę nie mieć najmniejszego poczucia, że to się dzieje, tak wielki jest bowiem rozziw. – Wszystko to uległo dla Olivera zmianie po rozmowach z żoną i jej przyjaciółmi, a także w wyniku obserwowania jej skrajnie odmiennych reakcji na wiadomości. – Pewnego razu gościem w *The Daily Show* był Donald Rumsfeld i Jon [Stewart – przyp. E.B.] przeprowadzał z nim wywiad. Jon powiedział coś w stylu: „No tak, ale wojna w Iraku nie miała nic wspólnego z 11 września”, na co Rumsfeld lekko się roześmiał i odpowiedział: „Tak, oczywiście, jasne”. Pamiętam, że czułem, jakby moja żona zapadła się w sobie. „Nie to nam mówili” – stwierdziła. To było naprawdę trudne. Ciężko jest patrzeć, jak ktoś gładko zbywa coś, co z rozmysłem wciskano ludziom, którzy mieli tam pojechać i, jeśli nie zginąć, to przynajmniej być świadkami śmierci.

– Ta perspektywa powstrzymuje mnie przed zapatrzaniem się we własny pępek – mówi Oliver – ponieważ Kate pracowała w miejscach, w których konsekwencje działań są znacznie poważniejsze niż w sytuacji, gdy nie robi się programu tak dobrze, jak się chciało. Prawdopodobnie nie mam takiej siły charakteru, by podejmować decyzje, które podejmowała. – Co istotniejsze, zakochanie się w kimś, kto ma tak odmiennie doświadczenia, pokazało Oliverowi wartość czegoś, do czego w jego programie podchodzi się bardzo poważnie: próby większej empatii wobec innych i zrozumienia ich.

Wszystko to brzmi jak coś godnego najwyższej pochwały, ale druga strona medalu to komizm oparty na potwornym grubiaństwie Olivera. Podczas rozmowy w cztery oczy jest uprzejmy, czarujący, ciepły i przyjacielski – i to w taki sposób, że trudno to pogodzić z jego zdolnością do bezwzględnego upokarzania rozmówców, jak wtedy, gdy krzyczał „Nikogo to nie obchodzi!” do Edwarda Snowdena, by powstrzymać go przed brnięciem w niezrozumiały slang techniczny, albo gdy śmiał się różnym politykom prosto w twarz. Nawet samemu Oliverowi ta ekranowa nieuprzejmość wydaje się obca. – Nie jestem w stanie odesłać jedzenia w restauracji – zarzeka się. – Okłamię kogoś bez mrugnienia okiem, żeby rozładować sytuację. Jednak podczas programu tele-

Podczas rozmowy John Oliver jest uprzejmy, czarujący, ciepły i przyjacielski – i to w taki sposób, że trudno to pogodzić z jego zdolnością do bezwzględnego upokarzania rozmówców.